

LITWO, OJCZYZNO MOJA

ZNAD

W WILNIE



DWUTYGODNIK

Rok II, nr 22

Wilno, 14 -27 października 1990

cena 30 kop.

EUROPEJSKIE ROZWIĄZANIE KONFLIKTU

"Drugi Zjazd Deputowanych Terytorialnych Rad Samorządów Wileńszczyzny postanawia:

1. Utworzyć na terenie Wileńszczyzny Polski Narodowościowo-Terytorialny Kraj ze swoim Statutem w składzie Litwy".

Uchwała, którą zacytowałem powyżej, stanowi pewien punkt graniczny w stosunkach polsko-litewskich na Litwie. Oto, w obliczu dążeń niepodległościowych Litwinów, Polacy na Wileńszczyźnie (a uchwała ta była przyjęta jednogłośnie) uznali, iż jedynym skutecznym sposobem zabezpieczenia ich praw będzie utworzenie Narodowościowo-Terytorialnego Kraju w składzie Litwy. Podstawowym pytaniem, które nasuwa się w takiej sytuacji jest pytanie, dlaczego Polacy zdecydowali się na ten krok. Jak mogło dojść do tego, że wybijające się na Niepodległość Państwo Litewskie nie budzi zaufania, że Polacy w całości odnosili się od początku z niechęcią do działań emancypacyjnych Litwinów. Wśród Polaków były różne poglądy: obok tych, którzy zadeklarowali lojalność wobec działań Litwinów, byli i tacy, którzy obserwowali działania Litwinów z rezerwą, byli i ci, którzy wybrali opcje konfliktu polsko-litewskiego na Wileńszczyźnie. Różnorodność postaw uwarunkowana była dominującym wśród Polaków na Litwie poczuciem zagrożenia: poczuciem wynikającym z niejasności statusu języka polskiego na Litwie (w szczególności w tych miejscowościach, gdzie Polacy mieszkają w sposób zwarty), sytuacja polskiego szkolnictwa, polskiej kultury (ciągle pałaca sprawa teatru na Pohulance), nie wspominając już o Mszy św. w języku polskim w Katedrze Wileńskiej.

Jestem zdania, że Parlament Litewski i Rząd niedostatecznie docenili sytuację w tym regionie państwa. Komisja państwowa pod przewodnictwem wicepremiera R. Ozolasa po zgłoszeniu swych wniosków i propozycji, niestety, nie zmniejszyła lęku i nie dodała pewności. Ostatecznym tego przejawem było przyjęcie wyżej przytoczonej uchwały, która sprawiła, że stosunki polsko-litewskie na Wileńszczyźnie przestały być w sposób osta-

teczny kwestią tylko wyżej wymienionych narodów i przez to nabrały dodatkowego dramatyzmu. Obecnie stoi przed nami - Polakami i Litwinami - pytanie, co uczynić należy i czego nie można zrobić, aby sytuacja z dramatycznej nie przekształciła się w tragiczną. Na pewno poprawie sytuacji nie będzie służyć negatywna reakcja Litwinów na postanowienia zjazdu.

Należy przypuszczać, że taka reakcja doprowadzi tylko do umocnienia się opcji niechętniej Litwinom, co ostatecznie może doprowadzić do potraktowania Moskwy jako jedynego gwaranta praw Polaków w tym regionie. Sytuacja taka, jakże bardzo dla Litwy niebezpieczna, w ostatecznym rozrachunku uderza także i w Polaków, którzy będą jednocześnie przez Litwinów traktowani jako źródło ich klęski. Bez względu jak konflikt ten zakończy się dla Litwy i Litwinów, dla nas, Polaków, może on oznaczać, że nie uzyskawszy jeszcze podmiotowości w życiu społecznym Litwy, możemy ją bezpowrotnie utracić.

W zaistniałej sytuacji najwyższe władze Państwa Litewskiego uchwały o utworzeniu Polskiego Narodowościowo-Terytorialnego Kraju w składzie Litwy powinni przyjąć jako propozycję Polaków do dyskusji o statusie mniejszości polskiej na Litwie. Sądzę, że w odpowiedzi na tą propozycję niezbędne jest zastosowanie się do Rezolucji nr 192 stałej konferencji władz lokalnych i regionalnych Rady Europy. Zmierzamy do Europy, więc trzeba oponentom zaproponować prawdziwie europejskie rozwiązanie konfliktu. Tym bardziej, że w tej samej Rezolucji podkreśla się, że jej zastosowanie nie może kolidować z integralnością terytorialną umawiających się państw, a właśnie na tym Republice Litewskiej jak najbardziej zależy.

Rozwiązanie problemu "polskiego kraju" może zaciążyć lub nawet zadecydować o przyszłości Litwy i stosunkach polsko-litewskich. O tym wszyscy powinni pamiętać.

Czesław Okińczyc



Pachnący jeszcze farbą dworek Państwa Mickiewiczów w całej swej okazałości.

Fot. Piotr Jankowski

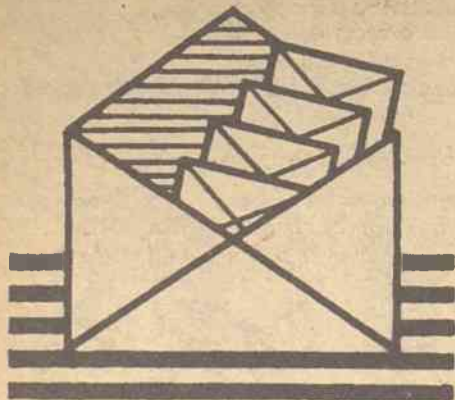
Jak sprzed dwóch wieków...

Coraz mniej liści w parku przed domem w Nowogródku, w którym mieszkali Mickiewiczowie. Już z daleka wylania się biel budynku, który niewątpliwie jest najstarszym tu odbudowanym i kontrastuje z odrapanymi budowlami z epoki. Znamy to miejsce z wycieczek. Odbywaliśmy je ze szczególnym wzruszeniem. Dlatego chyba pewien niepokój powstał nie tylko wśród mieszkańców Nowogródka, lecz i ludzi bywających na Szlaku Mickiewiczowskim, gdy budynek został rozebrany. Na to miejsce przyszli polscy restauratorzy, którzy od fundamentów wzniesli ten dom niczym prawdziwy pomnik Wieszczi. Budowali go z sercem, wkładając talent i całe swe doświadczenie. Prócz domu w rekordowym czasie wyrosły zabudowania pomocnicze - oficyna, spichrz, altana, studnia. Powrócił więc pejzaż tego miejsca zbliżony do czasów prawie sprzed dwóch wieków. Dziś gospodarze pomickiewiczowskiego domu nie muszą się martwić, że przecieka dach, nie domykają się okna, że spróchniałe drewno nie wytrzyma, że potrzebne są ciągłe remonty. Nadzwyczaj solidnie wykonany dworek, z wykorzystaniem najlepszych materiałów budowlanych i dębu przetrwa wieki.

- Była to budowa niepodobna do innych. W pracy nie liczyły się godziny, ludzie starali się rozwiązywać szybko powstałe problemy. Brakowało materiałów, jakich rzadko dziś używamy, gdyż wszystko tu miało być "prawdziwe", w zgodzie z zaleceniami przeprowadzonych badań. Odnoszę wrażenie, że zadanie to zostało spełnione - powiedział pełnomocnik "Budimexu" inż. Czesław Karasewicz, który sprawował w czasie budowy troskliwą opiekę nad dworkiem i niemało czasu spędził w Nowogródku. Również dyrektor naczelny CHZB "Budimex" inż. Grzegorz Tuderek przybyły z Warszawy był zdania, że przekazano do użytku obiekt szczególnie, co odnotowano dla potomnych na piśmie, które w specjalnej metalowej kasecie umieszczone zostało pod podłogą odrodzonego domostwa.

W domu Mickiewiczów rozlokuje się jak niegdyś muzeum. Zanim to nastąpi minie nieco czasu. Mówi się o otwarciu 24 grudnia br. W odrestaurowanych pomieszczeniach można będzie ciekawiej rozmieścić eksponaty. Planuje się przeprowadzać regularnie różne imprezy i oczywiście spotkania literackie. Dworek poety w Nowogródku znów będzie celem dla wielu turystów. Swoją drogą nie należy zapominać o całym Szlaku Mickiewiczowskim, uporządkować wszystkie miejsca związane z życiem Wieszcza.

Wanda Marcinkiewicz



Święci wracają do katedry

Dopiero będąc w Wilnie mogłem zapoznać się z dwutygodnikiem, gdyż w kraju daremnie go poszukiwałem. Wyrażam uznanie za interesujące opracowywane czasopiśmie. W nr 20 "Znad Wilii" spotkałem temat, który mnie od dawna porusza. Bardzo chciałbym dowiedzieć się o losach wielkich Polaków pochowanych w katedrze wileńskiej, a było ich co najmniej setka. Szczególnie zaś zainteresowany jestem losem grobowca i epitafium śp. Ks. arcybiskupa Jana Cieplaka, niedoszłego metropolity wileńskiego, który jest moim rodakiem, urodzonym - tak jak i ja - w Dąbrowie Górniczej. Niestety, próżno w świątyni rozglądałem się za śladami po ks. arcybiskupie. Co się z nimi stało?

A jest on kandydatem na ołtarze, zatem przyszłym świętym. Jeśli więc "święci wracają do katedry", czyżby o ks. arcybiskupie miano zapomnieć?

Jerzy Dya
Dąbrowa Górnicza

Znad Wołgi

Wilno jest mi bardzo drogie. Urodziłam się w pobliżu kościoła św. św. Piotra i Pawła. Chodziłam do szkoły nr 15 im. W. Syrokomli. Przeżyłam tu ciężkie lata wojny. Pracowałam w rosyjskim szpitalu, gdzie poznałam swego męża. Był to człowiek nadzwyczaj dobry. Niestety, już nie żyje. Bardzo tęsknię do Wilna, nie mam na Litwie nikogo z rodziny. Tu nie ma nikogo z Polaków, więc proszę wybaczyć za pismo, z którego mnie "rozgrzeszy" chyba wiek (66 lat). Cztery lata temu odwiedziłam Wilno. Jest bardzo piękne. Choć stoi na tym samym miejscu, wydało mi się jakieś inne. Chyba dlatego, że w nim tak dużo różnych narodowości. Mnie osobiście zależy, żeby Człowiek był przez dużą literę. Jestem praktykującą katoliczką i głęboko mnie interesują sprawy ojczyznie i Kościoła. Każdej niedzieli słucham przez radio Mszy św. Bardzo mi się podoba "Znad Wilii". Chcę być stałą czytelniczką dwutygodnika. Przed wojną np. o Wilnie mówiło się tak:

"Wilno, miasto najdroższe,
ot, gdzie życie najfajniejsze!"

Wanda Blellkowa
(z domu - Lewandowska)
Zawotzsk, obwód iwanowski

Od redakcji: Dziękujemy za serdeczny list. Jeżeli chodzi o polszczyznę Pani Wandy - list napisany jest poprawnie i bez zarzutu!

Nawiążę kontakt z harcerzami

Jestem Polakiem, choć nie mam związków z Polską. Bardzo chciałbym zostać harcerzem. Słyszałem, że na Litwie są harcerze. Może są także już gdzieś w ZSRR? Bardzo proszę o kontakt.

Henryk Szyszacki
pr. Gierolw Stalingrada 181/177
310096 Charków
Ukraina

Moja oferta

Jadąc do pracy w Tallinnie przez Wilno udało mi się nabyć numer Waszego pisma, które bardzo mi się spodobało. Jednocześnie informuję, że jestem statym mieszkańcem Lublina i zawsze chętnie byłem ofiarodawcą książek na rzecz pomocy polskim szkołom na Litwie.

Ciekawy jest konkurs ze względu na zamieszczane zdjęcia archiwalne. Zgłaszam ofertę nie do odrzucenia - a mianowicie wydać reprinty starych pocztówek Wilna, na wzór jednego z wydawnictw estońskich.

Jerzy Rzesz
(czasowo w Tallinnie)

2 października odbyło się konsultacyjne spotkanie delegacji ZSRR i Litwy. Przewodniczyli Nikołaj Ryżkow i Vytautas Landsbergis. Rozmowy trwały 4 godziny. Obie strony wyraziły chęć kontynuowania współpracy handlowo-gospodarczej, zostały zadowolone z tego przygotowawczego etapu rozmów.

Vytautas Landsbergis 8-11 października br. przebywał w Republice Islandii na zaproszenie premiera Steigrimura Hermannsona. Po czym udał się do Paryża, gdzie wygłosił odczyt na konferencji zorganizowanej przez Francuską Partię Republikańską.

7 października w Oslo w kancelarii adwokata Leonasa Bodasa oficjalnie otwarto pierwsze w Europie Zachodniej Biuro Informacyjne RL.

10 października w MSZ odbyła się ceremonia akredytacji tymczasowego przedstawiciela Republiki Łotewskiej w RL Alberta Sarkanisa.

Na posiedzeniu Rady Międzynarodówki Socjalistycznej postanowiono przyjąć do niej w charakterze pełnoprawnych członków partie socjaldemokratyczne Litwy i Estonii.

Rada Najwyższa RL 25 września zwróciła się do Komisji Praw Człowieka ONZ z prośbą o powołanie i skierowanie na Litwę specjalnej komisji do udzielenia pomocy w zbadaniu sytuacji zamieszkałych tu Rosjan, Polaków, Żydów, Białorusinów i innych mniejszości narodowych.

6 października w Ejszyszkach kontynuował obrady II Zjazd Deputowanych Samorządów Wileńszczyzny. 209 delegatów z rejonów - sołecznickiego, wileńskiego, trockiego, święciańskiego i szyrwinckiego jednogłośnie uchwalilo deklarację o utworzeniu na Wileńszczyźnie Polskiego Kraju Narodowo-Terytorialnego w składzie RL. Uchwałę skierowano do Rady Najwyższej Litwy. Postanowiono także zwrócić się do Rad Najwyższych ZSRR i RL z prośbą o uznanie porozumienia tych państw z 10 października 1939 roku za nieważne.

Rząd RL potępił próbę wysadzenia w powietrze monumentu Armii Radzieckiej w Kryżkalisie w nocy z 4 na 5 października. Uległy wówczas uszkodzeniu postument i rzeźba. Uważa się, że jest to prowokacja w przededniu rozpoczynających się rozmów z ZSRR.

Prezydium Wileńskiej Rady Miejskiej nie zaakceptowało ewentualnej defilady wojskowej Sił Zbrojnych ZSRR 7 listopada w Wilnie i zaleciło wilnianom, aby nie uczestniczyli w militarystycznych imprezach i w demonstracji.

Przypuszcza się, że w Wilnie i okolicach stacjonuje 39 jednostek wojskowych Armii Radzieckiej.

Uchwałą Rady Miejskiej Wilno zostało podzielone na 20 starostw. Najenergiczni mają szansę zająć nowe urzędy. Miejmy nadzieję, że wśród nich nie zabraknie także Polaków.

Powstaje Związek Właścicieli Domów i Parcel RL. Ma on na celu przywrócenie majątków ich prawowitym właścicielom.

W Wilnie przy ulicy Dzuku otwarto Dom Litewski. Mieści się w nim szkoła średnia dla dzieci zesłańców i wychodźców. 1 września rok szkolny rozpoczęło tu 61 uczniów z Rosji i innych republik ZSRR.

Podjęto decyzję o utworzeniu Uniwersytetu Kłajpedzkiego. Ma on zacząć działać od 1 stycznia 1991 roku na bazie funkcjonujących w tym mieście filii wyższych uczelni i innych placówek nauczania.

W Śilute bawił dyrektor znanej spółki lotniczej i turystycznej z Marsylii L. Hidekel. Efektem jego podróży jest decyzja o zbudowaniu na wyspie Rusne hotelu dla zagranicznych turystów. Być może pochodzenie dyrektora, który wywodzi się z tych stron, przyspieszy realizację tego pomysłu.

12 października w Kowieńskiej Galerii im. M. Žilinska otwarta została wystawa malarstwa prof. Andrzeja Strumiły do wybranych Psalmów w tłumaczeniu Czesława Miłosza. Wystawa ta miała odbyć się wcześniej, wyhamowała ją blokada.

Ukazały się dwa numery 16-stronicowego tygodnika "Vilniaus Laikraštis" ("Gazeta Wileńska"), który za swego patrona także obrał św. Krzysztofa. Jedna strona czasopisma zamieszcza artykuły po polsku, jeszcze jedna - po rosyjsku. Tygodnik "dla miasta i świata" ma być wzorem tolerancji i porozumienia.

W dniach 20-21 października w Wileńskiej Hali Widowiskowo-Sportowej wystąpi Centralny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego.

Nazwy swe zmieniają nie tylko ulice. Podjęto decyzję kino "Spalis" ("Październik") przemianować na "Adrie", a "Moskwę" - na "Helios".

W Wilnie zarejestrowano 4 tysiące spółdzielni, które świadczą najprzeróżniejsze usługi.

Na każdego śledczego pracownika milicji w ciągu roku przypadają do rozpatrzenia 82 sprawy karne. Wyłączając dni wolne i święta obliczymy, że na jeden przypadek można poświęcić tylko dwa dni. Korzystają z tego przestępcy.

Na Litwie nie ma więzienia dla niebezpiecznych recydywistów. Dotychczas więzieni oni byli poza granicami republiki. Obecnie trzeba szukać niezawodnych miejsc odosobnienia, szczególnie dla przestępców skazanych na dożywocie. Nadal istnieje kara śmierci.

Jak wynika z ewidencji narkologicznej, na Litwie notuje się 70 tys. alkoholików. W tym dziesiątą część stanowią kobiety.

Od 1 października na Litwie prócz talonów na zakup coraz większej listy towarów wprowadzono "wizytówki". Zastąpią one dowody osobiste przy robieniu codziennych zakupów.

Wzrosły ceny za usługi pocztowe. Wysyłając list na Litwie czy do ZSRR ofrankowujemy go z 20 kop. (wcześniej - 5 kop.).

Ceny. Za jednego dolara w Gariunai (Janczanach) dawano 17 rb., marka niemiecka kosztowała 10, a 1 gram złota - 130 rubli.

I Światowy Kongres Polonii Medycznej

Polskie losy sprawiły, że wśród naszych Rodaków mieszkających na wszystkich kontynentach, są również przedstawiciele świata medycznego. Choć pracują w różnych warunkach, pod różnymi szerokościami geograficznymi, łączy ich jedno: pamięć o Kraju Ojców.

I oto nadarza się okazja spotkania na polskiej ziemi w mieście, które nie bez racji nazwano Duchową Stolicą Kraju.

Pragniemy uprzejmie poinformować, że Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Lekarskiego powierzył nam zaszczytną i odpowiedzialną rolę gospodarzy I Światowego Kongresu Polonii Medycznej wraz z towarzyszącymi V Międzynarodowym Zjazdem Naukowym Polskiego Towarzystwa Lekarskiego i Krajowym Zjazdem Delegatów PTL.

To niezwykle spotkanie odbędzie się w Częstochowie, w kilka dni po wizycie Ojca Świętego Jana Pawła II, w czerwcu 1991 roku pod patronatem Premiera Rzeczypospolitej Polskiej, w 200-lecie ogłoszenia Konstytucji 3 Maja oraz 90 rocznicę powołania Towarzystwa Lekarskiego Częstochowskiego.

Zapraszając Państwa do udziału w tym pierwszym, światowym forum Polonii medycznej wyrażamy przekonanie, że stanie się ono nie tylko miejscem wymiany doświadczeń i osiągnięć wzbogacających dorobek polskiej medycyny wszędzie tam, gdzie ma swoich przedstawicieli, lecz również będzie niecodzienną okazją nawiązania bliskich kontaktów i przyjaźni, tak głęboko zakorzenionych w narodowej tradycji.

Przyjmujemy Państwa w Częstochowie, naszym wspólnym, polskim domu serdecznie i gorąco - chlebem, solą, sercem...

Komitet Organizacyjny
Szpital Chirurgiczny im. Rydygiera
ul. Mironowska 25
42-200 Częstochowa

PRENUMERATA

Chętnych do zaprenumerowania naszego dwutygodnika informujemy, że prenumerata na 1991 rok wynosi 12 rb, 60 kop., półroczna - 6 rb. 30 kop., kwartalna - 3 rb. 15 kop., miesięczna - 1 rb. 05 kop.

Nasz indeks 67248

Prenumeraty dokonuje się we wszystkich urzędach pocztowych Litwy do 1 listopada b.r. Chętni otrzymywania "Znad Wilii" w Polsce i ZSRR proszeni są o kontakt z redakcją.

Jednocześnie informujemy prenumeratorów za granicą, że prenumerata roczna kosztuje US \$ 30, półroczna - US \$ 15. Czeki personalne lub money-order'y należy przysyłać pod adresem:

c/o Neal ASCHERSON
account Nr 70127116
Barclay's Bank
146 City Road
London E. C. 1
Great Britain

jednocześnie powiadamiając redakcję "Znad Wilii":

232019 Vilnius, P.O. Box 1755,
Lithuania

Artysta, jego dzieła i polityka

Ze znanym reżyserem, senatorem RP Andrzejem Wajdą rozmawia Romuald Mieczkowski

- Jest Pan znany u nas z wielu filmów. Nie tak dawno temu dotarła do nas "Kronika wypadków miłosnych".

- Przede mną i Konwickim powstało pytanie, czy możemy zrobić film, którego akcja rozgrywa się w Wilnie. Dokładniej - w Kolonii Wileńskiej. Przyjazd na zdjęcia nie był możliwy, nie mieliśmy wtedy, 5 lat temu, nadziei, że nastąpią takie zmiany polityczne. Zaczęłam szukać innego wyjścia. Przypomniałem sobie dzieciństwo w Suwałkach, próbowałem wyobrazić tamte czasy. To film, który kosztował mnie najwięcej wysiłku, ponieważ był zrobiony w kilkunastu miejscach "zastępczych" - w Drohiczynie, Przemyslu, niektóre fragmenty zrealizowano pod Warszawą. Wykorzystałem też krajobraz w Kazimierzu nad Wisłą...

- Czy Pan miał kiedyś przedtem okazję być w Wilnie?

- Byłem w Wilnie w latach 60. Kiedy przystępowałem do pracy nad "Kroniką" nie miałem okazji, żeby pojechać raz jeszcze. Może to i dobrze dla filmu - "nie sfotografował" on rzeczywistości. Odtworzył natomiast moje wyobrażenie - nie zaś prawdziwe miejsca, w których spędziłem dzieciństwo. Jest to marzenie, które odpływa. Ten zabieg w rezultacie uczynił film bardziej poetycki. A że prawdziwy? Prawda zawarta jest w charakterach, w sposobie mówienia, zachowania się. Przecież ci młodzi aktorzy nigdy nie byli w Wilnie! Nie są w stanie sobie wyobrazić, jak było przed wojną. Ale młodzież zawsze szuka jakiegoś innego świata, w którym chciałaby się zanurzyć. Powieść Konwickiego pozwoliła im tego dokonać.

- Jak wyglądała współpraca w trakcie realizacji filmu?

- Kiedy już był scenariusz, to Konwicki nie wtrącał się specjalnie. To go nie interesowało. Namówiłem go, żeby wystąpił w filmie. Długo nie był zdecydowany. Jestem pewien, że żaden inny aktor nie mógł być narratorem. Konwicki dał jeszcze jeden niespodziewany kolor.

- Czy jeszcze jakieś pańskie filmy zahaczały o Wileńszczyznę?

- Nie. Kilka razy przygotowywałem się, żeby zrobić film "o kresach" - o moich rodzicach. Cały początek "Kroniki wypadków miłosnych" przedstawia suwalskie poligony wojskowe. Tak właśnie zapamiętałem ćwiczenia kawalerii, artylerii. Mój ojciec był w stopniu porucznika, dowódcą plutonu artylerii konnej. Innej nie było. Taka atmosfera panowała w tych stronach.

- Poświęca się Pan dużo społecznie. Czy nie jest to strata dla polskiej kinematografii?

- Ostatni mój film "Korczak" wchodzi na ekrany. Był pokazany poza konkursem na festiwalu w Cannes. Musiałem się rozstać z filmem. Senat powierzył mi Fundusz Daru Narodowego. Porzuciłem całkowicie swe zajęcia reżyserskie i teatralne. Powrócę jednak do swojej pracy, gdyż nie mam zamiaru brać już więcej udziału w wyborach. Jest taki moment w życiu, kiedy należy spełnić obowiązek. Moim celem, jako



Fot. Stanisław Woś

artysty było dążenie do tego, aby Polska była krajem wolnym i demokratycznym. Już jest ona takim krajem. Ale żeby nim do końca była - więcej zdziałam jako artysta. Zaczęłam robić jeszcze jedną rzecz, którą przez całe życie odkładałem. Zajmę się pedagogiką. Planuję założyć niezależną szkołę filmową.

- Czy miał Pan kontakt z artystami z Litwy?

- Niewielki. Moim przyjacielem jest Vytautas Zalakevičius. Dawno go nie widziałem. Wciąż wysoko cenię film "Nikt nie chciał umierać". Jest on bliski mojemu "Popiół i diament". Bije w nim to samo serce.

- Jest Pan artystą i politykiem. Tak się składa, że na Litwie nie ma polityków jest artystami...

- Chodzi o to, że artyści dość wcześnie uświadomili sobie granice, które muszą przekroczyć, jeżeli chcą coś zrobić dla kraju. Uświadomili, że było to "życie na niby", stwarzane przez różne urzędy. Artyści w krajach komunistycznych są odpowiedzialni za to, że ich prace pokazywane na świecie zamazywały prawdę, usiływały potwierdzać, że więcej jest wolności niż jej było w rzeczywistości. Myślę, że każdy z nas ma na sumieniu ten grzech. Kiedy pojawiła się możliwość wzięcia czynnego udziału w nowej rzeczywistości politycznej, wielu artystów chce ten grzech w jakiś sposób odkupić.

- Dotyczy to nie tylko artystów. Co Pan

sądzi o odrodzeniu Litwy?

- Zachwyca desperacja, z jaką Litwini postanowili odzyskać wolność. Dlatego mnie nie interesuje, co myśli Kreml, nie zastanawiam się, czy np. Ameryka pomoże. To są rzeczy wtórne. Ważne, że Litwini zrobili wybór i nie odstąpią. I będą wolność mieli, choć to może być nie od zaraz. My szliśmy do tego dziesięć lat.

- Jaką rolę może odegrać w tym kultura?

- Kultura nie jest żadną legitymacją w drodze do Europy. Liczy się chęć społeczeństwa wznieść wyżej. Bunt tych krajów, które Związek Radziecki zajął po Jałcie polegał na tym, że nie chcieliśmy, żeby zepchnięto nas na margines. Utrzymywano jako wasali. Jeżeli dzisiaj Polska wraca do Europy, to dzieje się tak dlatego, że po prostu wyżej oceniamy poziom cywilizacji Zachodu.

- Na to pojęcie składa się również sztuka. Polska ma w tym znaczne sukcesy. Sztuka jest jednak pewnym mianownikiem, będącym ściśle powiązaniem właśnie z kulturą.

- Nie chcemy być gorsi. Teatr Tadeusza Kantora jest jednym z najbardziej nowoczesnych teatrów świata. Przedtem był Grotowski. Wiele polskich przedstawień, w tym również moich, jeździ po świecie. Podobnie jest z filmami. Z literaturą, choć zmaga się ona z wielkimi trudnościami. Czesław Miłosz czy Zbigniew Herbert stoją w szeregu wielkich poetów współczesności.

To jest sztuka. Natomiast kultura jest zupełnie innym zjawiskiem. Jest to jak gdyby sztuka w codziennym życiu, naszym obcowaniu, w ocenie własnych postępów i innych. Tu sytuacja znacznie gorsza. W Polsce nadal są instytucje, które tworzą odpowiedni poziom gustów. Jest to "darmowy teatr", kino za pół darmo. Kultura, którą państwo daje społeczeństwu. To musi być przekreślone. Ma powstać na bazie samorządów terenowych zupełnie inna kultura. Oczywiście, istnieje ona w pewnych kręgach. Chodzi jednak o to, żeby ogarnęła więcej ludzi. O ile w państwie komunistycznym traktowano wszystkich jednako, o tyle prawdziwa kultura iklada się w bardzo różne warstwy. Innej kultury potrzebuje miasto, innej np. prowincja. Na to trzeba pozwolić sobie. Ta piramida niech się w sposób naturalny wznosi. Nie może ona być sztucznie zaprogramowana.

- Czy ktoś wystąpił z propozycją zorganizowania przeglądu Pańskich filmów na Litwie? Jakże filmy poleciliby Pan nam do obejrzenia?

- Nie. Przyjmę taką propozycję z przyjemnością. Jakże filmy poleciliby? Te, które nie dotarły na Litwę - "Piłat i imi", "Miłość w Niemczech", "Danton". No i starsze - dla przypomnienia, takie jak "Panny z Wilka" czy "Brzezina". Chciałbym też przyjechać z jednym z moich przedstawień teatralnych. Może z "Hamletem", z "Antygona", "Lekcją języka polskiego".

- Życzę, żeby to doszło do skutku. Dziękuję za rozmowę.

Polacy na Syberii

Po przeczytaniu artykułu Józefa Rusakiewicza ("Znad Wilii", nr 19) chciałbym podzielić się niektórymi uwagami. Ojciec wspomniany są bracia Piłsudscy - Józef i Bronisław. Należy przypomnieć, iż Bronisław Piłsudski był nie tylko badaczem Sachalinu, lecz i pierwszym dyrektorem muzeum etnograficznego we Władystoku.

Wspomniany pan Bolesław Szostakowicz jest także przewodniczącym polskiego klubu "Wisła" w Irkucku. Jest on potomkiem polskich zesłańców, którzy trafili do Kazania za udział w powstaniu 1831 roku. Dziadek pana Bolesława prawdopodobnie studiował na Uniwersytecie Moskiewskim. Za wsparcie kolejnego powstania - 1863 roku, był zesłany dalej niż ojciec - już na Syberię. Będąc członkiem przedsięwziętym uczestniczył w wydawaniu wychodzącej w Tobolsku pierwszej gazety w Syberii Wschodniej. Później redagował gazetę w Irkucku, a w końcu, w latach 1905-1919 był burmistrzem tego miasta.

Oto skąd w Irkucku Szostakowicze. M.in. światowej sławy kompozytor Dymitr Szostakowicz pochodzi z tej samej rodziny.

Rimvydas Racenas
Wilno

Wzruszyła mnie pielgrzymka

Miałem szczęście we wrześniu odbyć pielgrzymkę do Matki Bożej w Ostrej Bramie, do Ziemi Rossy, która dała wieczne spoczywanie dziadom mojej Żony, rodowi tej wilnianki. Zahartowany w pierwszych pielgrzymkach na Jasną Górę zupełnie "się zagubiłem" w pielgrzymce autokarowej do Wilna. Zagubiłem się jak syn marnotrawny. I odnalazłem się jak on. Był to autokar prawdziwych pielgrzymów. Bardzo się radowałem, iż mogłem z Żoną ślubu odnowić na jej rodzinnej ziemi, pokłonić się prochom czczonym powszechnie, odwiedzić dziewięćdziesięcioletnich już krewnych i korespondencyjnie umocnić przyjaźnię. Wilno pozostawiło w tym sercu trwałe ślad, który przelałem na papier i który załączam poniżej.

Szczęść Boże w trudnej redakcyjnej robocie!

Zakochałem się w Wilnie
od pierwszego wejścia,
Miasto obdarzyło wilnianką
i nadzieją spełnienia.

Przez Teresę do Matki -
jak paciorki różańca
płyną łzy pojednania -
tam ostatnia jest szansa (...)

Przebudowa - na piasku
przebudowy - akt drugi
pozbawiono sowietów
wszelkich złud i zasługi.

Adam Frysiak
Warszawa

Szanowny Panie Czesławie,

nasza droga życiowa nie jest usłana różami, czyhają różne pułapki. Czas, na całe szczęście, pokazuje, kto ma rację. Cieszę się, że gazeta zwyciężyła. Dziś wiem, ile kosztuje to energię i siłę - dobrą robotę robicie Panowie. Trzeba reperować to, co jest nadpsute. Polubiłem Was za szczere pisanie, że dajecie z siebie wszystko w imię pogodzenia narodów. Zdaliście egzamin nie tylko na oczach wilnian, lecz i szerszej Polonii. Jestem za tym, żeby jednoczyć umysły i serca w tej działalności. Jako poeta-robotnik mogę bez końca prawić pochwały, płyną jednakże one z serca. Bogu składam modły za Wasze zdrowie. Dziękuję też naszemu drogiemu Kraszewskiemu - Panu Mieczkowskiemu, a myślę, że nie obrazi się, że go tak nazwałem - za wytrwałość i poświęcenie, co niczym krew na białym papierze porusza nasze umysły i uczy szlachetności.

Jan Kozicz
Wilno



Queen of Poland

W skupiskach polonijnych rozsianych po całym świecie od lat odbywają się wybory najpiękniejszych Polek. Wiele z nich uczestniczy w konkursach narodowych organizowanych w krajach zamieszkania, nierzadko zdobywając laury miss i wicemiss kraju.

Ogromną popularnością cieszą się takie konkursy organizowane w Polsce. Miss Polonia 1989, Aneta Kreglicka zdobyła zaszczytny tytuł Miss World'89, zaś Elżbieta Lebioda - Queen of World'90, rozślawiając urodę i inteligencję Polek na całym świecie.

Stąd właśnie powstała myśl zorganizowania w okresie od 1 stycznia do końca maja 1991 roku wyborów Queen of Poland. W światowym konkursie mogą uczestniczyć najpiękniejsze dziewczyny polskiego pochodzenia bez względu na obywatelstwo i miejsce zamieszkania. Eliminacje na Litwie, Łotwie i Estonii przewidziane są w lutym przyszłego roku w Wilnie. Konkurs finałowy odbędzie się 18 maja 1991 r. w USA, w Chicago, po nim odbędą się w Polsce koncerty galowe, w których zaprezentowane zostaną laureatki konkursu Queen of Poland.

Dla zorganizowania konkursu powołana została Agencja Queen of Poland, która w jego przeprowadzaniu współdziałać będzie z Polsko-

Polonijną Agencją ARTPOL International, popularnym polskim tygodnikiem "Przekrój" oraz Radiem Solidarności.

Główny organizator konkursu "Queen of Poland" zwraca się do organizacji polonijnych, klubów polonijnych, gazet, stacji radiowych i telewizyjnych, impresariów i menedżerów, organizatorów podobnych konkursów w świecie o współpracę w przeprowadzeniu eliminacji w krajach zamieszkania Polonii. Zgłoszeń Państwa oczekujemy do dnia 30 października'90 na adres: "Queen of Poland", 00-322 Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 64, tel. 635-04-40, fax. 26-87-75, tlx. 815564 pl.

Natychmiast skontaktujemy się z Państwem i prześlemy szczegółowy regulamin i zasady imprezy.

Liczymy również na udział w przeprowadzeniu tej imprezy sponsorów - firm i osób prywatnych; których wkład i reklamy znajdą swój wyraz w wydawnictwach konkursu "Queen of Poland" rozprowadzanych na wszystkich imprezach eliminacyjnych w świecie, w scenografii i konferansjerce imprez, w filmach i programach telewizyjnych.

Konkursowi "Queen of Poland" towarzyszyć będą występy popularnych artystów teatru i estrady, giełdy i aukcje sztuki polskiej, liczne wydawnictwa.

ZNAD WILII
199010.14 -10.27 3

25 - LECIE WILEŃSKIEJ POLSKIEJ SCENY

A zaczęli od "Dam i huzarów"

- Pareństwo wiader wody z nie takim, co trzeba kolorem farby wylałam, ręk i twarzy odszorować nie mogę, a scenograf powiedział, że on na tej łączce z kwiatkami położy się chyba i umrze, bo już dłużej nie wytrzyma...

Tak się zaczęła moja z nią rozmowa o jubileuszu - 25-leciu Jej, Wileńskiego Polskiego Zespołu Teatralnego "przy kolejarzach".

Pareństwo wiader wylanej farby oznacza, że parę dziesiątków metrów białego płótna należało ufarbować na kolor niebieski!

Niebieski - bo niebiesciutko i niebiańsko ma być we dworku w sztuce pana Adolfa Walewskiego "Tatusz pozwolił" (tego, który to bardzo dawno Goldoniego na polski tłumaczył). Na tej niebieskości miały być wymalowane drobne kwiatki, bo i miłość i twórczość w tym dworku kwitnie. Cóż, kiedy w Anno Domini 1990 wileńskie farbiarnie odmówiły się farbowania płótna, bo... czasy kryzysowe - farby nie ma, a może i jest, tylko że pracować farbiarkom się nie chce, bo i co tam kogo teatr dziś może obchodzić. Dziś - parlament się liczy i wszystko, co się w nim dzieje, a parlament nie potrzebuje dyskutować w niebieskim tle z kwiatkami (a szkoda, bo w pomieszczeniu bez okien traci się widok niebieskiego nieba).

Pani Irena Rymowicz... No właśnie, czas ją przedstawić. Chociaż - któż Jej nie zna? Wieloletni kierownik artystyczny Polskiego Wileńskiego Zespołu Teatralnego. Zespołowi w swoim czasie nadano miano "teatru ludowego" co znaczy, że kojarzyć się to powinno z rangą teatru amatorskiego - wyższą od przeciętnej, a nie z ludowością w guście kolektywizacji, czy folkloru. Kłopot dziś trochę z tym nazewnictwem - otrzymanym w spadku z niedalekiej sowieckiej przeszłości, podobnie jak też z tytułowaniem (czytaj - tytułomanią) naj-najlepszych aktorów: "narodnyj artyst SSSR". Albo "zasłużennyj". Których to tytułów artyści w Litwie już się chętnie pozbyli. I słusznie. Aktor ma imię i nazwisko, i one to powinny go pośród innych wyróżniać. Żeby jednak jakoś scenę amatorską odróżnić od zawodowej - dla godnych reprezentantów tej pierwszej także wymyślono tytuły: "pieriedownik chud. samodiejatielnosti". Czyli - stachanowiec. Tymi tytułami obdarzano także w swoim czasie aktorów Wileńskiego Polskiego Zespołu Teatralnego (Teatru Ludowego) przy Pałacu Kultury Kolejarzy.

Wybaczą mi dziś członkowie trupy, że te ich tytuły pomnę milczeniem, bo i nie są one dla Czytelników ważne. Ten, kto bywa na przedstawieniach tego teatru, doskonale pamięta świetne role Ireny Bojarowicz-Litwinowicz, Haliny Jasińskiej, Mirosława Szejbaka, Danuty Sielickiej, Dominika Kuzinowicza, Jerzego Łajkowskiego, Henrietty Kubilius, Renaty Chaleckaite, Janusza Dąbrowskiego, Mieczysława Dwilewicza, Wandy Marcinkiewicz-Mieczkowskiej, Tadeusza Szpakowskiego, a jeszcze wcześniej - Heleny Szypicy, Eugenii Krzysztofowicz, Janiny Lukoszewicz, Jerzego Surwiły, Bogdana Noniewicz i dziesiątków innych, którzy w tym zespole byli od początków, bądź przyszli nieco później, czy też w niezbyt odległych czasach. Tych, którzy wytrwale są w nim do dziś i tych, którzy odeszli - pożegnali się nie tylko ze sceną, ale i z tym światem.

Wracając jednak do jubileuszu - 25-lecia teatru. Otóż, żeby na tę okazję odbył się spektakl premierowy - parę dziesiątków białego płótna na kolor niebieski należało ufarbować. Jęła się tego indywidualnego wyczynu kierownik artystyczny i reżyser pani Irena Rymowicz. Farba była niebieska, ale wyszła z tego sałatka. Scenograf ręcznie malował na tym kwiatki i miał już serdecznie dość (nie tyle malowania, ile wdychania ostrego zapachu farby). Twierdził, że przy tej robocie ducha wyzionie, szczęściem, tak się nie stało. Jest więc scenografia i jest muzyka, jest spektakl - jubileuszowy!

Czasy trudne. W polityce "rzeczywistość skrzeczy", wygłodniałe myszy też skrzeczą na półkach w sklepach pustych, jak plaża jesienią. A tu, na scenie tańczą kankana i śmieją się serdecznie - z naszych przywar i słabostek, śmieszności, naiwności, krótkowzroczności nieraz, ze wszystkiego tego, z czego jesteśmy utkani, z czym nam - i źle, i dobrze, bo już tak zbudowany świat. Grunt - to nie tragizować, nie poddawać się pesymizmowi...

Znam ten teatr odtąd, odkąd istnieje, a nawet i wcześniej, kiedy zakładali go jeszcze nieodżałowani Aleksander Czernis i Jerzy Orda. Za ich czasów były wieczorki poetyckie, a jeden mi się zapamiętał szczególnie - był poświęcony twórczości Norwida.

Pierwszy "grand-spektakl" (wcale wszak nieszczępła obsada, piękne stylowe kostiumy) błysnął tu w światłach rampy 25 lat temu, a były to "Damy i huzary" Aleksandra Fredry.

Alwida Bajor



1964 rok - pierwsze próby nad pierwszym spektaklem Polskiego Zespołu Teatralnego przy Wileńskim Pałacu Kultury Kolejarzy po objęciu kierownictwa nad tym zespołem przez Irenę Rymowicz, uprzednio aktorkę Wileńskiego Rosyjskiego Teatru Dramatycznego (pośrodku, obok pani Ireny - młodziutki aktor przygotowujący się do kreowania roli Porucznika - Jerzy Surwiło, dzisiaj zastępca redaktora naczelnego "Kuriera Wileńskiego").

- Skoro już spadać, to z dobrego konia - powiedziała wtedy pani Irena Rymowicz.

Wykluwający się zespół amatorski porwał się na klasykę i... wyszedł z tego obronną ręką. Kto nie ryzykuje, ten nie odnosi zwycięstwa. Pani Irena zaryzykowała. Dziś mówi, że może to nawet nie było wielkim ryzykiem, bo... nie sfrunęła przecież na tę scenę z nieba. Miała za sobą dziesiątki lat pracy na scenie zawodowej: w Kijowie (teatr im. Lesi Ukrainki), na froncie, a potem w Wilnie (scena Rosyjskiego Teatru Dramatycznego). Przeżyła jeźdźszczyznę, zsyłkę, okropności wojny, przeżyła stalinizm i wszystko, co było później, więc co? Fredry by się miała przestraszyć? Pani Irena obrywała nieraz za "niezdrowe ciągoty" do dworów i dwórków, krynolin, dekoltów, fraków, smokingów i surdutów (przeważnie od recenzentów prasowych). Cóż, kiedy jako dziecko w takiej właśnie atmosferze po-dziadkowo-domowej wyrosła.

Dwory i dworki mnożyły się na scenie, a wraz z nimi i "szlacheckie niepokoje" ("Zagłoba swatem", "Gęsi i gąski", "Pan Damazy"...). Publiczność jednak oklaskiwała je serdecznie. Ze spektakli zapamiętał się szczególnie "Moralność pani Dulskiej" (ponad 100 przedstawień) bodaj



Irena Bojarowicz-Litwinowicz - żona niezawodnego szermierza - Czeska Litwinowicza - i mamusia sześciolatniej Basi. Do zespołu przysłała wtedy, kiedy miała lat prawie tyle, ile ma dziś jej Basia. We wszystkich bez wyjątku rolach wyróżniła się wspaniałością gry, najlepsza chyba jednak była w "Kosmogonii" Jarosława Iwaszkiewicza jako Rena. Obecnie - kończy studia reżyserskie w Leningradzie.

już dwudziestoletni starszek "Pan Zagłoba" - także ponad 100 przedstawień, jest on zresztą dotąd stałym gościem na Wileńszczyźnie, jak też w Polsce.

Publiczność... To, że teatr ten przetrwał aż do dziś, przez te wszystkie 25 lat, zawdzięcza on przede wszystkim swojej, głównie wileńskiej publiczności. Jak też ludziom ze wsi i miasteczek Wileńszczyzny, którzy przy tej bądź innej okazji teatr ten na swoją małą wiejską scenkę zapraszali. Teatr zjednoczył sobie wszystkich, ludzi różnych "maści i barw": ksiądz w dobrosądzkiej zgodzie siedział obok "wysoko postawionego" funkcjonariusza partyjnego ("A cóż mieli robić? - uśmiecha się dziś szelmowsko pani Irena, skoro im tak właśnie wyznaczyłam miejsca na zaprosze - niach") gdzieś w pobliżu nich (kupił bilet) siedział czuj-duch, Zwykły Szary Człowiek, mający potrójną robotę - obserwowania "ideologii" na scenie, jak też księdza i "wysoko postawionego" funkcjonariusza partyjnego oraz "tłumu", przepraszam w imieniu Zwykłego Szarego Człowieka - narodu - czyli reszty publiczności. Z tym, że w licznych momentach wszyscy nagle zapomnieli, kim są z "zawodu", i Ksiądz, i Jego Wysokość Partyjniak i Skromny Szary Człowiek, czyli "czuj-duch" w czynie społecznym pękali nagle ze śmiechu, kiedy młodej zakochanej parze udało się wykiwać starego, zniechęconego niefortunnego amanta, bądź skąpego tatu-sia polującego na jego majątek.

A dziewczyny w tym zespole zawsze były ładne. Nic zatem dziwnego, że szybko zostawały czyimiś z publiczności żonami, a później matkami. Stąd to właśnie - z tego zespołu - redaktor naczelny łamów, na których dziś o tym wszystkim piszę, porwał ze sceny najmłodszą, najurodziwszą i niezwykle utalentowaną Myszkę. Myszka - to Wanda Marcinkiewicz. Myszka - bo taką właśnie rolę miała w sztuce Skowrońskiego "W czepku urodzona". Pamiętam, jak dziś na festiwalu teatralnym w Polsce, w Siemiatyczach, uwijających się po spektaklu młodych panów wokół dziecinno-beztroskiej Myszki. Mój Boże - wzdychała wtedy pani Irena, czyżby mi to niezwykle uzdolnione dziecko do Polski porwał? Smarkata jeszcze, ale co mi tam, niech sobie za małż, jeżeli chce, wychodzi. Ale, żeby tutaj, w Wilnie została!

Martwić się pani Irena miała powód. Dziewczyny stąd splywały pod rękę ze świeżo poślubionymi mężami - Loretka do Krakowa, Kaśka - do Bułgarii... Ale co się tyczy Myszki - wilnianin okazał się szybszy i bardziej obrotny od swoich konkurentów w Polsce.

- Troje dzieci hoduje teraz - wzdycha pani Irena, gdzie jej tam do sceny. No, ale może dzieci do nas przyjdą.

To racja. Bo scena ta jednak nie świeciła z powodu tych miłośno-mażeńskich przygód pustką. Po latach pojawiły się na niej dzieci "weteranów i weteranek", a jeszcze po latach - przyszli tu ich wnuki.

Prasę mieli różną. Teatr "przy kolejarzach" - to rozpieszczano, to znów - sądzono surowo, bądź też krzywdzono go okrutnie. Dziennikarze w Polsce - raczej go rozpieszczali (wiadomo - sentymenty, że "coś takiego" jeszcze w Wilnie być może). Obcy - przybywszy, nie obeznani ani z tradycjami teatralnymi Wilna, ani z teatrem w ogóle - wylewali na ten zespół kubeł prowokacyjnych złośliwości, roszcząc w stylu typowo sowiecko-belferskim pretensje iż "nie jest to teatr ludowy, ale wodewilowy".

Faktycznie - ludowy, czyli "narodnyj" nie dał się, by

AMATORSKIEJ " PRZY KOLEJARZACH "

założono mu kaganiec. Na przeciągu całej swej historii Wileńskiej Polskiej Narodny Teatr nie pokazał ani jednego produkcyjniaka. Przylepiona mu złośliwa etykieta "wodewilowy" nawet największego laika sceny wprawiła w osłupienie, wszak nie pokrywała się z prawdą oczywistą, jak choćby i z tą, że zespół miał w swoim repertuarze również tak poważne dramaty, jak "Kosmogonia" Jarosława Iwaszkiewicza, "Niepokój" Kazysa Sai, "Dwie matki" Ireny Irosznikowej... Jak wreszcie ostrą, ciętą satyrę polityczną, mianowicie "Pluskwę" Włodzimierza Majakowskiego (znakomity, niezapomniany spektakl, zagrany w czasach, gdy inne sceny - zawodowe - bały się go jak ognia, bo co jak co, ale "Pluskwę" ściągano tam z afisza). Jak też wymiennie zrealizowanych "Dziewiątego sprawiedliwego" Jerzego Jurandota oraz "Jaszczurkę" Aleksandra Wołodina. W szczególności "Jaszczurka" "chwijnego politycznie" dramaturga leningradzkiego o wyraźnie propolskich solidarnościowych sympatiach nie w smak była. Spektakl otwarcie, z całą ostrością smagał reżim totalitarny wskazując niedwuznacznie pod jaką szerokością geograficzną się rozwija. Takiej pigułki sprawiedliwego" Jerzego Jurandota oraz "Jaszczurkę" Aleksandra Wołodina. W szczególności "Jaszczurka" "chwijnego politycznie" dramaturga leningradzkiego o wyraźnie propolskich solidarnościowych sympatiach nie w smak była. Spektakl otwarcie, z całą ostrością smagał reżim totalitarny wskazując niedwuznacznie pod jaką szerokością geograficzną się rozwija. Takiej pigułki

Podjazdy obcych spełzły jednak po tym teatrze niczym przysłowiowa woda z przysłowiowej gęsi. Spaliła też na panewce publiczna próba oskarżenia kierowniczkę zespołu p. Ireny Rymowicz o... rzekomy brak patriotyzmu ("wychowanie w duchu patriotyzmu i internacjonalizmu międzynarodowego" - tak to się nazywało). Żeby było zabawniej - w Artystkę wypuszczono ciężkie działo w osobie gorliwego deputata SSSR, aktywno diejatiela KPSS pouczającego Artystkę jak się ma wychować i w jakim duchu. Na odpowiedź publiczną pani Ireny nie przyszło długo czekać.

- Żadna odezwa z Kremla, jak choćby i ta, z pogróżką, że my, ludzie Litwy nie wyrzekłszy się swych dążeń narodowościowych, okazemy się na brzegu przepaści - nie odstraszy nas! Moim pragnieniem jest umrzeć w wolnej Litwie i zostać pochowaną na wolnej Litewskiej Ziemi - tu, gdzie są groby moich pradziadów! (z przemówienia Ireny Rymowicz na wiecu mniejszości narodowych w Wileńskim Parku Górnym 1989).

Dziś, w AD 1990 nie czas, Pani Ireno, myśleć o tym, kiedy Kostucha w progi zawita. Dziś wraz ze swoim pięknym Zespołem z okazji Waszego Jubileuszu - tańczy Pani kankana. Zawsze taka sama, wciąż "w tym samym wieku", nigdy nie starzejąca się w oczach swojej wiernej publiczności.

Ma Pani powody do wielkiej radości! Ileż to dziesiątków, ba! - setek bohaterów i bohaterek przeszło przez tę scenę. Trudno ich wymazać z pamięci. Są stale, towarzyszą różnym chwilom w Pani Życiu. Jest zespół, jest trupa, amatorzy grający dla swojej publiczności i czyniący to z gorącego umiłowania. Może właśnie dlatego, że nie są na etacie, nie grozi im rzemieślnictwo. Dla nich teatr - to nie praca dla placy, to - radość tworzenia. Są tu radości i niepokoje, chwile uniesień i smutku. Wspólnie, jak w jednej rodzinie, przebyte.

I to się przede wszystkim liczy.

...Świeczka na cmentarzu dla tych, którzy odeszli: pani Janina Lukoszewicz, Eugenia Krzysztofowicz, wielki miłośnik tej sceny, wiemy przez długie lata wszystkim przeżyciom swojej żony aktorki, p. Witold Kubilius... I - młody chłopak, dobry aktor i kolega - Gacki... Świeczka dla nich i dla innych, o których nie wspominałam, bo i nie wszystkich może za ćwierć wieku istnienia zespołu pamiętać.

I - kwiaty dla tych, serdeczności i uśmiechy, którzy żyją.

Tańczy więc dziś Pani z zespołem kankana...

"Tatuś pozwolił" - głośne brawa, raz po raz wybuch szczerego zdrowego śmiechu na sali. Uczmy się pogody życia - od nich, z tych dawnych dworków. Ma Pani powody do radości i uśmiechu. Bo i poza sceną jest dziś przezabawnie. Zwykły Szary Człowiek, Figura z Nomenklatury pościągali ze swoich gabinetów ze ścian leninków i pozawieszali w ich miejscu... obrazki z wizerunkami świętych. Wczoraj - po jednej stronie barykady, a dziś - po drugiej. Wczoraj - huzia na Lecha Wałęsę - a dziś - może jednak "za", "bo jeżeli naprawdę te wybory wygra?" A w Pani domu - zawsze dla wszystkich otwartego - był zawsze obrazek z wizerunkiem świętego. I niezależnie od "tych, bądź innych czasów" nigdy nie schodził ze ściany.

Jeszcze wczoraj Wysoka Figura Partyjna stała pod kościołem i rejestrowała w swoim czerwonym notesiku nazwiska polskich dzieci udających się na nabożeństwo. Dziś ta sama Figura, gorliwie zachęca dzieci, żeby się uczyły religii...

Ma Pani rację - komedia to wspaniały gatunek. Śmiejmy się!

Jeden z bohaterów jednego z utworów Czesława Miłosza mówi, że złość i nienawiść biorą się z krótkości życia. Śmiejmy się więc, a będziemy żyli dłużej.



Spektakl premierowy "Damy i huzary" Aleksandra Fredry w światłach rampy - od tej chwili zespół metrykuje się swoją datą urodzenia (1965r.) jako Polski Zespół Teatralny przy Wileńskim Pałacu Kultury Kolejarzy. Na dobrą sprawę - musiałby sobie jeszcze parę lat "dorzucić", bowiem głównymi jego założycielami byli wcześniej Aleksander Czernis i Jerzy Orda; grywał wtedy na tej scenie znany wileński drukarz i zecer - Jan Kozicz, dzisiaj autor zbioru poetyckiego wydane nakładem własnym pod tytułem "Liryki wileńskie". Ten to zbiorek poezji stał się jeszcze jedną atrakcją towarzyszącą imprezie jubileuszowej zespołu 14 października 1990r.

x x x

Przed spektaklem jubileuszowym "Tatuś pozwolił" w domu u Pani Ireny Rymowicz przeglądałam stopy starych zdjęć, programów spektakli, rozkręcam i zwijam stare afisze. Znajome twarze w "Damach i huzarach" - ich pierwszym, w 1965 roku, spektaklu: Jerzy Surwiło, Waldemar Przyszlak w rolach głównych... Który jednak z tych 29 zrealizowanych przez Panią spektakli jest Pani najbliższy? - zapytuje reżyserkę.

"Dziewiąty sprawiedliwy" Jerzego Jurandota oraz "Jaszczurka" Aleksandra Wołodina - słyszę w odpowiedzi. Zawsze uparcie preferuje Pani komedie, za co usiłowano Panią zlinczować, ba, jeszcze na domiar wszystkiego, co śmieszne, usiłowano Panią wciągnąć w grę polityczno-patriotyczną - mówię.

Ja już tyle przeżyłam - słyszę w odpowiedzi - że wystarczy mi gra na scenie. Tu najlepiej, najdosadniej wszystko można pokazać - i wszelkich graczy, i rogaczy, i wszystko, wszystko, na co się ma ochotę. Artysta jest zawsze panem sytuacji.

Dlaczego jednak komedie?

One uczą życia. Moi rodzice byli bardzo bogaci, mieszkali w Kownie, mieli dwa domy, ojciec miał firmę "Plienas". Pewnego pięknego dnia bolszewicy wszystko to zarekwirowali. Wszystko! Domy, firmę, kosztowności



Tańczmy więc kankana. A tańczą go w spektaklu znakomicie Mirosław Szejbak i Mieczysław Dwilewicz.

Fot. archiwum.

mojej matki - złoto, brylanty... Sąsiedzi byli przekonani, że moja matka psychicznie tego wszystkiego nie wytrzyma. A ona na to: o cóż mam się martwić? Przecież żyjemy, mam ręce i nogi, i dzieci - całe i zdrowe, są przy mnie. Cieszymy się więc i śmiejmy. Ja - ciągnie ten wątek Pani Irena - przez całe życie nigdy ani razu nie zapłakałam. A miałam w życiu momenty bardzo trudne. Zsyłka do Archangielska, tułanie się po obcych kątach, mieszkanie u obcych ludzi - w Moskwie, Kijowie... A później już w Wilnie - śmierć męża... A! - nie zliczę tu teraz wszystkich miast i przeżytych w nich wstrząsów. Raz, pamiętam, raz tylko bardzo serdecznie płakałam. To było w 1938 roku. Grałam wtedy na scenie kijowskiej, była to jedna z moich pierwszych ról. W recenzji z tego spektaklu, w którym grały ówczesne sławy aktorskie i ja było napisane: "Zwraca też szczególną uwagę doskonała rola młodziutkiej aktorki Ireny Abramowicz". Boże! Recenzent przekreślił moje nazwisko. Nie Rymowicz, ale jakaś tam Abramowicz. Przez trzy dni ryczałam jak bóbr. Wtedy nie miałam jeszcze większych w życiu kłopotów. W miarę upływu lat twarda rzeczywistość nauczyła mnie odporności, ciągle słyszałam słowa matki: nie poddawać się, nie załamywać, śmiać się!

x x x

Z rozmowy z panią Ireną Rymowicz już po spektaklu jubileuszowym (14 października 1990).

- Pani Ireno, powinna być Pani szczęśliwa. Widziała Pani, co się na widowni i za kulisami, pośród całego zespołu działo. Miała Pani łzy w oczach.

- To - ze wzruszenia, radości - pada odpowiedź. To łzy dobre - ze szczęścia.

- Grali młodzi ludzie, a przecież w przeważającej większości to już "stara kadra", to znaczy pracująca w zespole już od bardzo dawna. I znowu - zadziwił mnie osobiście Mieczysław Dwilewicz w roli pisarza Bujnickiego. Ten aktor w każdym spektaklu jest inny, w każdym - dokonuje się w tym człowieku piękny akt twórczy. To prawdziwy mistrz dysponujący mnóstwem środków artystycznego wyrazu, nigdy sam siebie nie powiela. Takie też opinie słyszałam teraz na sali - mówię do Pani Ireny.

Reżyserka wzdycha serdecznie:

- Od dawna już to zauważałam. Mam w zespole dużo tzw. "dobrych", ale kto z nich naj-naj, tego nie mogę im powiedzieć.

- Jedną z tych naj-naj - mówię do Pani Ireny - jest Irena Bojarowicz-Litwinowicz. Wilnianie od dawna już zdążyli ją zapamiętać jako świetną aktorkę. Wiadomo, że Irena ukończy niebawem studia reżyserskie. To Pani wychowanka, przyszła do zespołu będąc jeszcze dzieckiem. A więc, godna Pani zmiana?

- Takich rzeczy zawczasu nie wolno prorokować - słyszę w odpowiedzi. Iluż to nam pseudodziennikarzy, pseudodziałaczy "od kultury" naobiecowało wielkich sław reżyserskich! I co? Jedna z tych "sław" nie dostała w Polsce dyplomu, inną - z tejże Polski zwrócono nam z powrotem do Wilna. A iluż to w historii teatru reżyserów mających na początku nawet dobry start - pospadało później z hukiem. To wszystko czas, przyszłość pokaże - kogo i ile stać.

- Oby dla Waszego zespołu ta przyszłość była jak najlepsza - te życzenia składam na ręce Pani.

- Powinna być dobra, bo i jak inaczej - mówi reżyserka. Ja przecież nigdy nie byłam i nie jestem pesymistką.

Związki historyczne, związki serdeczne



Ks. Adam Eugeniusz Jesionowski w latach studiów w seminarium duchownym (około 1909 r.)

Cieszę się z faktu wydawania pisma tak koniecznego i poczytnego dla Polaków na Litwie, jak i tych żyjących w Kraju. Z sympatią śledzimy i popieramy Wasze dążenia do pełnej wolności. Chwała Najwyższemu, że doczekaliśmy czasów gdy marzenia nasze stają się rzeczywistością.

Jakież związki łączą Wasz kraj a

moją osobę? Otóż, ród mój wywodzi się od 1600 r. z Inflant, Kurlandii i Żmudzi, a funkcja społeczna pozwoliła mi na poznanie losów Litwinów żyjących na Ziemi Łomżyńskiej i Polaków - Łomżan związanych z Litwą. Ograniczę się jedynie do księży. Na Ziemi Łomżyńskiej od 1904 r. w Nowogrodzie, Lubotynie, Filipowie mieszkał oraz parafią Turośl w 1913-14 wódczył ks. Wincenty Dargis (ur. 14.V.1871, wyśw. VII.1894). Zmarł i spoczywa na cmentarzu w Przytułach. Z pochodzenia Litwinem też był ks. Michał Iłgunas (ur. 22.IX.1871, wyśw. 4.XI.1894) w latach 1906-13 proboszcz parafii Zbójna. W latach 1910-13 wikarym i proboszczem parafii Kolno był ks. Adam Eugeniusz Jasionowski. Zażyłe stosunki z moją rodziną sprawiły, że był ojcem chrzestnym mojej najstarszej siostry Sabiny w 1917 r. W latach poprzedzających odzyskanie Niepodległości Państwa Polskiego w 1918 r. ściśle współpracował z moją ciotką Antoniną Lipińską - nauczycielką w Turośli. Tam szerzyli zasady wiary i polskości wśród biednego, ale gościnnego ludu kurpiowskiego. Z diecezji łomżyńskiej przeszedł po wojnie w 1919-21 r. do Sejny, a od 1925 r. na Litwę (Wilno). Załączam reprodukcje fotografii wspomnianych tu duchownych z ich

młodych lat z tzw. rodzinnego albumu. Pragnę nadmienić także, że w 1926 r. z biskupstwa Łomżyńskiego przeszedł do Wilna ks. bsk. Romuald Jałbrzykowski.

Miło mi żyć w świadomości, że z Ziemią Łomżyńską związani są



Ks. Michał Iłgunas (od lewej) proboszcz parafii Zbójna; ks. Wincenty Dargis, proboszcz parafii Turośl na Ziemi Łomżyńskiej (lata 1916-1918)

duszpasterze Litwini działający w Polsce i Polacy działający na Litwie.

Z wyrazami szacunku

Tadeusz Butler,

prezes Oddziału w Gdańsku

Towarzystwa Przyjaciół

Ziemi Łomżyńskiej



Fot. archiwum

W GŁĄB I Z BLISKA



Oznak jesieni było wiele. Odwiecznie powtarzających się dla tych, którzy już kopę lat przetrzyli. Ale jak się ma tylko tych kilka lat, to każda zmiana w przyrodzie jest jakby wciąż nowym odkryciem. To wypływa zza dachu złotą kłonę, który jeszcze wczoraj przed pierwszym przymrozkiem miał inną barwę, to pta - niem się pojawił nieznanym, a te drzewa letnie, ten świergot latający - niepostrzeżenie gdzieś odfrwca, bez drogi, bez kierunku. Stały kierunek miały tylko klucze żurawi: jaskrawo widoczne, wyraźnie słyszalne nie tylko uchem ale i sercem, w którym klangor nigdy nie zanikał od razu, ale wyciszał się do połowy mocy pierwotnej, trwał i trwał.

Zdawano się, że te ruchliwe znaki na niebie z zalamujących się linii, chociaż ginęły na południu horyzontu, tkwią wciąż nad tobą w dźwięku unoszącym się coraz wyżej i wyżej.

Ale trzeba było opuścić się znów na ziemię po ukośnym promieniu słonecznym, zawisając czasem w zastuchaniu matym pajęczkiem na nici babiego lata. Wylądować na suche już badyłaste zielska albo na niwę świeżo rozoraną, znów przygiąć się ku ziemi z koszem w jednej ręce, z motyką w drugiej - bo ziemniak - pan taki, że nigdy sam do koszyka nie pójdzie. Utyłtał się ziemniak w ziemi zgodnie z nazwą swoją i udaje, że to kamyk. A ten niejedyn też - filut, że go z ziemniakiem pomylić można. I ile radości, kiedy ostatnia bułwa z pola spędzona, nie tylko ta, co się z pierwszego zajścia wykrywa, ale i te chytrzejsze - z powtórnego wyorywania i te największe łobuzy, które brona na powierzchni wygarnie.

I za każdym razem pachnie ziemia inaczej. Falującym złożonym aromatem - ni to z warstw, ni to z fal niewidocznych, a wszystko to się kłębi jakoś tak gęstym i różnym wokół różnych czerwieni: kalin, jarzębin, listowia.

Na polach wyległa się pustka leniwa, drzemie mgłą o porankach - wieczorach, w szron się rozproszy, czasem wiatrem w chude boki chlas-

tana kurczy się do niewidoczności, gwoździem deszczów przebita na wylot.

Zato w obejściu coraz ludniej. Krzątania w stodole. Raz z razem cep spada na kłosisie snopów zwieńczenia. Lupu - cupu: we dwa, a czasem i w cztery kije. Będzie zboża na mąkę i kaszę. Będą plewy dla chrupkających stworzeń w chlewni, słoma na sieczkę i pająka ozdobnego, z kokardkami kolorowej bibułki w złączeniach, żeby można było pod belką zawiesić, geometrię jego podziwiać, że tyle w jego ograniczonej przestrzeni trójkątów, kwadratów, nie mówiąc o bardziej złożonych figurach, którym nazwy da później jedna z najmądrzejszych, jak twierdzą, nauk - matematyka.

A tymczasem do liczenia - pełen ką głów. Kapusty, oczywiście. Tutaj swoja melodia tysiącznych odbitym światłem noży. Szatkowanie - bez szatkownicy. Nożem nierdzewnym podobno smaczniej i zdrowiej. Buławą drewnianą w kadzi wyparzonej ubije się to - to do dziesiątych soków, żurawinę się przesypie, kminem, wrzuci się kwaśne jabłko polne od dzika odebrane. Ten, bez przysmaku takiego się obejdzie, niech korzonków sobie szuka. A to - okrągłe, małe ugrzyzione - całą rodzinę na pamięć ściąga, żeby w gumę obraca. Smakuje, że aż w szczękach trzeszczy, bo swój sad - młody, ojciec na nogi gospodarke stawiał - poważniejsze wydatki miał, niż szczepy kupować. Ale za kilka lat urosną w sadzie jabłka swoje, różanobokie, pachnące. Tamte dzikom zostawimy. Niech znajdą gest szeroki, świnię leśną, tyle tego roku ziemniaków zryły nie tylko nam, ale i sąsiadom również. Jabłka polne dla nich zostawimy, za kilka lat może grzeczniejsze będą, smoluchy szablaste.

Ale sąsiad, który nadszedł, już o innych rzeczach mówi. Mówi - jutro spisy robić pójdą urzędnicy, żywiote (bydło - znaczy) na rejestry wezmą. Kto ma więcej niż jedną krowę, podatków dołożą, kontyngenty zwiększą, albo w ogóle odbiorą, bo kołchozy jak i na Białorusi pozakładać chcą.

- Ach, łapciozniki, ach, niewyparzone...

Noże szybciej śmigają, głowy kapusty na oczach tają, płatki coraz drobniejsze. Które tu jabłko polne świniom dzikim dać, żeby pół niemytym ryjem nie oraty. Cudzego ziarna, ziemniaka, zwierzaki nie ruszali. Dźwięczna pieśń jesienna żurawi teraz dopiero wniosa się aż tak wysoko, że jeszcze raz odezwata się tonem przeciągłym i zcichła. Nić pajęczka się urwata, nie ma drabiny z nieba, trawy badyłaste coraz bliżej, pustka na polu jeszcze raz przygwoźdzona i kołują - kołują - kołują krasne jarzębiny.

x x x

Nie ma was nad miastem, żurawie. A czy nad wioską moją jeszcze czasem przelatujecie?

Wojciech Radłowski

Z Kowieńskiego Kalendarza Powszechnego



Pory roku

W 1935 roku klimatyczne w naszym kraju rozpoczynają się: wiosna - 13 marca, lato - 12 czerwca, jesień - 18 września, zima - 18 grudnia.

Zaćmienia w r. 1935

W roku 1935 przypada 5 zaćmień słonecznych i 2 księżycowe. Ze zjawisk tych w Litwie widzialne będzie tylko jedno zaćmienie Księżyca.

Zaćmienia Słońca przypadają w dniach: 5 stycznia, 3 lutego, 30 czerwca, 30 lipca i 25 grudnia.

x x x

Wolno we wrześniu polować: przez cały miesiąc na: samy - kozły, dziki, borsuki, cietrzewie - koguty, kury i młode jarzabki, kuropatwy, dubelty, przepiórki, słonki, bekasy, kuliki, żurawie, dzikie łabędzie, dzikie gesie, drozdy, dzikie gołębie, dzikie kaczory i kaczki oraz inne ptactwo błotne i wodne; od 15 na: bażanty.

Ustawa normująca uprawę tytoniu

Ponieważ na wsi często jest stosowana uprawa tytoniu na własny użytek, więc zamieszczamy następujące przepisy:

1. Uprawiać tytoń wolno w całej Litwie, lecz tylko na wsi. W granicach miast i miasteczek jedynie instytucje naukowe mogą tem się zajmować.

2. Uprawiać tytoń wolno tylko w miejscu

swego stałego zamieszkania - w gospodarstwie przez siebie prowadzonym.

Wolno jest na własny użytek hodować nie więcej niż 50 krzaków tytoniu i to w jednym miejscu, nie rozrzucając krzaków wśród innych roślin.

3. Hodowcy tytoniu winni co rok do dnia 30 czerwca złożyć zawiadomienie w 2 egzemplarzach na imię powiatowego rewizora od akcyzy, by otrzymać świadectwo rejestracyjne. W zawiadomieniu należy wyszczególnić miejsce, gdzie tytoń posadzono, ilość krzaków oraz gatunek nasienia.

4. Hodowca tytoniu na własny użytek nie ma prawa sprzedawać go ani w postaci zielonej ani w postaci przygotowanej do użytku.

x x x

Kilku poważnych uczonych chemików niedawno ogłosiło wynik swych długoletnich badań co do zawartości nikotyny w różnych wyrobach tytoniowych. Z tabaki do żucia i do zażywania usunięta jest nikotyna prawie całkiem. Tytoń do palenia we fajkach mniej zawiera nikotyny, aniżeli tytoń w cygarach. Austriackie cygara około 8 proc. więcej zawierają nikotyny od cygar hawańskich. Przy zaciąganiu się podczas palenia 8 razy więcej wchłania się do ciała nikotyny niż przy zwykłym paleniu ustami.

Kto ma prawo kupować ziemię

Według zmiany ustawy o Reformie Rolnej z dn. 19 września 1934 r. gospodarstwa rolne mogą nabywać tylko osoby, które:

1. Same w przeciągu co najmniej 10 lat trudniły się wyłącznie rolnictwem, albo pracowały wyłącznie w dziedzinie rolnictwa.

2. Których rodzice lub dziadowie trudnili się wyłącznie rolnictwem.

Gospodarstwa rolne mogą wyżej wskazane osoby nabywać, pod warunkiem jednak, aby własna ziemia wraz z nabytą nie przekroczyła 150 ha.

(1935 r.)

Wybór: Elwira Ostrowska

Wyrazy głębokiego współczucia Henrykowi Sosnowskiemu, prezeso - wi Fundacji Kultury Polskiej na Litwie z powodu zgonu Ojca składa redakcja "Znad Wilii".

Redakcja "Znad Wilii" zatrudni sekretarkę, znającą biegle język polski i litewski. Mile widziana znajomość języka angielskiego, wykształcenie - wyższe. Oferty zgłaszać telefonicznie: 650463.

Ludność (21)

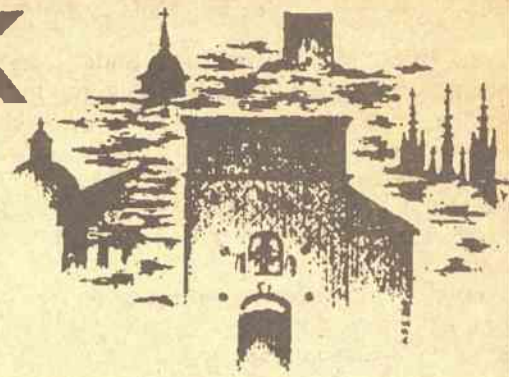
Do dokładnego określenia liczby mieszkańców Wilna w odleglejszych czasach nie mamy żadnych faktów historycznych. W wieku XIV w czasie napadu Krzyżaków na Krzywy Gród, jak świadczą kroniki, zginęło w Wilnie od pożaru i bitew 14.000 mieszkańców. Dlatego to niektórzy pisarze przypuszczają, że ówczesna liczba mieszkańców dochodziła do 30.000. Jest to wszelako liczba wątpliwa: ponieważ wiadomo, że w chwili napadu nieprzyjaciół, wszyscy, a przynajmniej większa część mieszkańców, szukała przytułku w fortecy, jako jedynym obronnym miejscu, dookoła bowiem wszystko palono i niszczone. Potem liczba mieszkańców stopniowo wzrastała, tak, że w XVI w. za czasów Zygmunta Augusta wynosiła przeszło 120 tysięcy. Od tego czasu liczba stopniowo się zmniejsza, a mianowicie od Jana Kazimierza, kiedy w roku 1655 zginęło 25 tysięcy mieszkańców, nie licząc tych, którzy gromadnie w ucieczce szukali ratunku. W dawniejszych opisach Wilna, w XVI mianowicie wieku, dziejopisowie mianują je wszędzie ludnym miastem. W czasie morowego powietrza w latach 1708, 1709 i 1710, jak o tym piszą współcześni, zmarło w Wilnie do 30.000 chrześcijan i do 4.000 Żydów. Cyfry te zapewne przesadzone w stosunku do Żydów, chociaż liczba ostatnia rzeczywiście była bardzo nie - wielkawk porównaniu z liczbą chrześcijan; wszakże liczby te dowodzą, że miasto było ludne. Nie można tu nie przypomnieć i o tym, że w czasie wojny lub zarazy, okoliczni mieszkańcy zawsze tłumnie spieszyli do miasta szukać przytułku. W drugiej połowie XVIII wieku w Wilnie jednoznacznie liczą 60.000 mieszkańców.

Podług rządowych źródeł z roku 1861, cyfra ludności w Wilnie jest następująca:

Mężczyzn	Kobiet
I. Szlachty rodowitej	
1.539	1.497
osobistej	
437	456
II. Duchowieństwo prawosławne:	
Mnichów	38
Świeckich z ich rodziną	111
Uczniów w seminarium i szkołach duchownych	307
Zostających przy klasztorach i cerkwiach	416
Rzymsko-katolickie:	
Świeckich księży	43
Zakonników i zakonnic	102
Kleryków	118
Zostaj. przy kościołach:	
Klasztorach	35
Ewang.-augsburskiego z rodziną	2
Ewang.-reformowanego -"	4
Mojżeszowego wyznania	6
Mahometańskiego	1
III. Miejskich stanów:	
Honorowych obywateli: rodowitych	
-"	1
osobistych	4
Kupców	287
Miejskich obywateli (hrazdan)	200
Mieszczan	18.826
Cechowych	3.802
	268
	218
	21.900
	3.878

PRZEWODNIK PO WILNIE

Adam Honory Kirkor



IV. Wojskowych	3.355	685
V. Cudzoziemców	254	256
VI. Osób, które nie weszły do składu w/w stanów	346	330
Ogółem	30.234	30.259
	=60.493	

Do tego dodać trzeba liczbę osób przyjeżdżających do Wilna za pasportami na czasowe mieszkanie. Z wiadomości policyjnych widzimy, że przybyłych do Wilna w ciągu roku bywa około 20.000 płci obojej, tak że w przeciągu na jeden miesiąc wypada po 1.600 osób; ale latem, od czerwca do października, ludność znacznie się zmniejsza, a najbardziej ludnym jest miasto w końcu kwietnia i w przeciągu całego maja, przez czas jarmarku i kontraktów. Z tych danych, wzięwszy jeszcze na uwagę ciągle kwatunki wojska, jako też za pasportem i bez pasportów stale i czasowie zamieszkałych Żydów (których liczby żadnym sposobem oznaczyć niepodobna z powodu nieustannego ruchu i codziennego przyjeżdżania i odjeżdżania) ludność Wilna najmniej oznaczyć można na 62.000 płci obojej.

Liczba mieszkańców według wyznań:

Mężczyzn	Kobiet	
Prawosławne		
3.962	1.674	
Rzymsko-katolickiego	13.464	
15.047		
Ewangelicko-augsburskiego i ewang.-reformowanego	490	
482		
Starowierców (czyli Roskolników różnych sekt)	235	
233		
Mahometańskiego	60	
40		
Żydów	12.023	
12.783		
Ogółem	30.234	
30.259		
	=60.493	

Liczba małżeństw połączonych w r. 1861: 744 par; urodziło się - 1.467; zmarło - 1.279. Tak więc, liczba nowo narodzonych przewyższa liczbę zmarłych o 297 mężczyzn i 156 kobiet, czyli razem o 453.

Podług wiarygodnych materiałów za lat 21, ruch ludności miasta Wilna od roku 1823 do 1853 był następujący:

	Mężczyzn	Kobiet	Ogółem
Urodziło się	23.019	22.813	45.832
Umarło	24.531	22.128	46.659

Widzimy stąd, że w przeciągu lat 21 ludność Wilna zmniejszyła się w ogólnym bilansie o 827 osób płci obojej; w liczbie tej mężczyzn ubyło 1.512, liczba zaś kobiet przeciwnie powiększyła się o 685.

Uwaga red. W tej części pomijamy nader szczegółowy opis statystyki urodzin i śmiertelności według parafii. Następne rozdziały dotyczyć będą obiektów sakralnych.

(Cdn.)

VILNIANA

Znów bez emblematu księgi. Co oznacza, że będzie poniżej nie o lekturach. Pozwólę bowiem tym razem pogderać, jak to ostatnio coraz bardziej czynią wszyscy. Nie twierdzą, że to jest dobrze, ale znać nam warunki bieżącego żywota tak doskwierają. A więc, o handlu, o handlu i znów Maciek handlowy. Bo gospodarka rynkowa - to niby panaceum na nasze codzienne biedy, to wszak znów ten sam handel.

A w Wilnie, jak się obserwuje, już go pełno, choć niby wciąż się wydaje, że półki sklepowe puste. O Jaczanach-Gariunai hen na róży wiatrów wileńskich nie będę wspominała. Byłam tam raz, wystarczy. Wolę popatrzeć, jak wciąż suną i suną tam (zwłaszcza w dni wolne od pracy), zapchane - najczęściej młodymi ludźmi - autobusy bądź inne wehikuly. Znać jest ruch w interesie. Znać, kto szuka - znajdzie. I to, co komu trzeba.

Oto dworzec kolejowy w Wilnie. Przed dobre dawne lata plac przed nim był, jak świeżo uczesany. Wiadomo, nie wolno psuc pierwszych wrażeń dla gości, dbano szczególnie o zagranicznych. Było ludno i jednocześnie pusto. Tu hotel, komunikacja miejska, ruch, pośpiech w miasto. Dziś tu niczym za czasów nep-u obrośliśmy w kioski, straganiki, niemal budy i nie tylko.

Znów serce historycznego Wilna - Pl. Katedralny, niech kto policzy, czego tam już nie ma pod ręką? Jada, picia, kwiaty, dewocjonalia, górą prasa. Co prawda, papierosów nie ma... Ale stop! Idźmy aleją Giedymina i jest! Tuż koło starego poczwicznego gastronomu zawsze ktoś dyżuruje z tych nieproszonych (a może proszonych!) agentów monopolu tytoniowego. Komu trzeba przecież kupi, niezależnie od orzeczonej ceny. Ale oto vis a vis ELTA znów kioski rzędem, nie tylko prasowe. W nowej dzielnicy, np. sklep "Mada", jakoż szczególnie oblepiony kioskami. Oblepione non stop hangarowate ogromne wnętrza "Mady" i "Zrób to sam", a i te kramy obok. Podobnie dzieje się przy

rynkach na Kalwaryjskiej czy na Hali przy Zawalnej itd.

Handel ma się rozwijać, pięknie. Ale chcę powiedzieć, że jakiegokolwiek by to było estetyczne, zapchanie każdej wolnej przestrzeni budami psuje całokształt estetyki miejskiej. Owe wagoniki wszelkie - kolorowe więcej lub mniej - można widzieć doraźnie w miejscach rekreacji na szerokiej przestrzeni (np. plaże, stadiony), ale zalepienie nimi Starówki, otoczenia co większych lokali gastronomicznych jest zapewne przesadą. Nasz piękny gród w takiej powodzi staje się jakimś obozem cygańskim lub właśnie nabiera wyglądu grodu widzianego na starych fotografiach za carskich czasów. Jakiś wtedy załamszony, prowincjonalny. Po prostu Wilna szkoda na to. Nie trzeba przekonywać, ile ma walorów, trzeba je akurat eksponować, a nie pomniejszać poprzez zaśmiecanie pięknych miejsc.

Wilno jest miastem kameralnym i powinno ono być przejrzyste, przytulne. Wszelkie jadłodajnie, bistro, bary, pijalnie, pączkarnie itp., których wciąż brak i brak, powinny się znajdować co krok, ale nie masowo w budach, kioskach. Przecież nie wszystko jest jeszcze wykorzystane w tej istniejącej substancji urbanistycznej na cele gastronomiczno-handlowe. Ile jeszcze drzwi na glucho zamkniętych mamy w starym budownictwie, ba i w nowym? Choćby nawet w ciągu Wielka-Zamkowa, na Lazdynai? Merowie miasta zapewne wiedzą bądź powinni wiedzieć.

Swoją drogą czytelnicy zapoznali się z nimi tuż na świeżo, krótko bo krótko, dzięki nowo powstałej gazecie "Vilniaus laikraštis" z mutacjami stronicowymi, jako "Gazeta wileńska" i też "Wilniuskaja gazieta". Wilnianie z pewnością będą mieli satysfakcję z własnego tygodnika. A moja niniejsza relacja niech posłuży jako pierwszy kamyczek do ogródka właśnie ojców miasta - jako taka postać powitania ich pisma.

A kolegom po piórze składamy gratulacje.

(D.)

KONKURS

To, co było...



Tradycyjnie oczekujemy od Państwa odpowiedzi na pytanie, co jest przedstawione na zdjęciu z początku stulecia. Listy należy nadsyłać w ciągu miesiąca pod adresem redakcji: "Znad Wilii". 232019 Wilno, skr. poczt. 1755 z dopiskiem na kopercie "To, co było..."

Tytułem odpowiedzi

W nr 19 reprodukcja akwareli Franciszka Smuglewicza przedstawia Zamek Dolny, będący rezydencją książąt litewskich. Niejednokrotnie burzony i palony znajdował się przy katedrze, miał połączenie z Zamkiem Górnym. Szczególnie wspaniale był odbudowany po kolejnym pożarze na początku XVI wieku za panowania Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta. Ostatnio odkryto część jego dolnych kondygnacji i fundamentów. L.Doroszkiewicz

Z niebywalem przepychem urządził i ozdobił Zamek Dolny Zygmunt August. Była to obszerna budowla, połączona z katedrą krytą galerią. Zamek miał trzy podwórza, dookoła których wznosiły się budynki dworzan, służby, więzienie i gmach Trybunału. Zamek spłonął w roku 1610. Pożar był tak gwałtowny, że z trudem udało się

uratować królową Konstancję z maleńkim Janem Kazimierzem. Chociaż potem był odbudowany, to odtąd chylił się ku upadkowi. Zburzono go w roku 1799. Na jego miejscu w 1881 roku założono skwer.

Irena Kozłowska

Nagrody książkowe za prawidłowe rozwiązanie konkursu z nr 19 otrzymują: L.Doroszkiewicz, Irena Kozłowska i Edward Stefanowicz - wszyscy z Wilna.

Książki wysłamy pocztą.

Adres redakcji: 232019 Wilno, skrytka pocztowa 1755, tel. i fax: 65 04 63
Wydawca: Czesław Okieńczyk
Redaktor naczelny: Romuald Mieczkowski
Numer podpisano do druku 12 października 1990 r.
Skład komputerowy
Druk offsetowy. 2 arkusze druk. Litewskie Przedsiębiorstwo Wydawnicze "Spauda"
Indeks 67248 XL - 160

ZNAD WILII
199010.14 -10.27

7

Kwiaty

Sytuacje

Corocznie składaliśmy życzenia urodzinowe Katarzynie, naszej dobrej znajomej. Tego też dnia nie zabrakło na przyjęciu smakowitych zakąsek i potraw, tradycyjnych w tym domu gołąbków, słabszych i mocniejszych trunków, co gospodarze ujęli w grzecznościowy zwrot "czym chata bogata..."

Zona jeszcze z rana mi zapowiedziała, że tuż po pracy idzie do fryzjera, by nie być gorszą od dentystki Zosi, ani od kierowniczkę sklepu z narzędziami gospodarczymi - Stanisławy. Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby nie prosiła mnie, prawda, w sposób zdecydowany i nie znośzący odmowy, abym kupił kwiaty - skromne, lecz eleganckie, bezpretensjonalne, lecz niepospolite, bezaluzyjne, ale przywodzące na myśl pewne cechy solenizantki, najważniejsze - podkreśliła - mają być cięte i długie.

Te wymagania wpłynęły, że wydajność produkcyjną - przyznam szczerze - tego dnia miałem nieco mniejszą. Cóż było robić, kiedy moja zazwyczaj niespokojna iskierka racjonalizatorska rozpalala się nie w tym kierunku. Biorąc słuchawkę telefoniczną starałem się jak najszybciej od-fajkować sprawę, by "przy okazji" dowiedzieć się czegoś na temat kwiatów. Wiadome, że dotychczas stawiano u nas raczej na kapustę i buraki - dlatego nie jest rzeczą łatwą zdobycie wiązanki, nawet w pełni sezonu, nie mówiąc już o czasach, kiedy za oknem szaro lub bialo. Przy po-

mocy komputera sprecyzowałem uzyskane informacje, zbadałem możliwości dostania kwiatów. Nie zapowiadały się one ani tra-



gicznie, ani też różowo.

Kiedy wybiła szósta po południu, prawie biegiem wyruszyłem do najbliższej kwiatarni, znajdującej się na trasie, zaprojekto-

wanej przez ośrodek obliczeniowy naszego instytutu naukowo-badawczego. Niestety, kwiatarnia była zamknięta. Następną zastałem otwartą, ale kwiatów nie było. Kolejna proponowała suszone kompozycje, zdecydowana większością natomiast wianki pogrzebowe. Niektóre kwiatarnie miały wąską specjalizację, na przykład, donicz-

moją uwagę coraz bardziej zaczęły przyciągać klomby i parki, całe szczęście, od czasu do czasu nawiedzane przez milicjantów.

Z zadumy wyrwał mnie sąsiad, który właśnie wynurzył się z tłumu. Był to człowiek niezwykle uczynny, mający rzadką zaletę, że potrafił łączyć spacer z poszukiwaniem uszczelki do ubikacji, lub potrzebnej książki, czyli "przyjemne z pożytecznym" - jak mawiał. Z racji częstych spacerów sąsiad ten słyszał z niezastąpionych porad. Mój drogi - powiedział od razu, wybij z głowy kwiatami i zasuway na bazar - tam dostaniesz i krótkie, i długie, dobre, bo drogie...

Poprosiłem taksówkarza, aby zaczekał, a po dokonaniu zakupu bałem się spojrzeć na licznik, kiedy poprzez "skrót" przyjechaliśmy po żonę. Spod pudru wybijał jej zdrowy rumieniec. Stał się on bardziej intensywny, kiedy zobaczyła, że przedmiotem moich długotrwałych poszukiwań były goździki, kwiaty piękne, lecz spowszedniałe, bo można je kupić o każdej porze roku i sprezentować na każdej okazji. Jednego tylko nie mogła mi odmówić: były naprawdę długie.

Kiedy uściskaliśmy solenizantkę, czułem, jak spada mi kamień z serca, a gdy pochwaliła kwiaty, poczułem ogromną dumę. Kiedy witałem wszystkich już zebranych gości, zauważyłem, że Katarzyna przełamuje kwiaty przez połowę i wstawia je do niskiego flakonu, mówiąc, że tak będzie lepiej, a i wszystkie wysokie naczynia ma już zajęte.

1983

Romuald Mieczkowski

Od nowa

JESIENNE REMANENTY

Zmarzliśmy w oczekiwaniu babiego lata. Nawet wcześniejsze włączenie ogrzewania w tym roku mało pomogło. Jesień przyszła dżdżysta, daleka od mimoz. Barwy można znaleźć raczej pod nogami. Coraz cieńsze jedzenie nie napawa optymizmem, chociaż musimy hartować siebie, żeby wytrwać w jeszcze większych kolejkach, jakie zapowiadają nam eksperci gospodarczy. Nie radzę wszakże siadać do kaluży i płakać w mankiet. W ogóle unikam dawania rad - mamy ich w nadmiarze od etatowych naszych uzdrowiaczy - rola felietonisty całkowicie mnie zadowala.

Jesień, to okres prenumeraty. Nie zamierzam z tego miejsca robić kącika agitacyjnego, choć nie ukrywam, że cieszyłbym się, gdyby ktoś z Czytelników *Od nowa* zaprenumerował z mojego powodu "Znad Wili". Może bym miał dzięki temu nieco większe honorarium? A może wówczas inni, lepsi ode mnie zajęliby tę rubrykę? A propos pisarstwa dziennikarskiego. Otóż coraz częściej dochodzą wieści, iż redaktorzy rodzimych pism polskich swym pracownikom i korespondentom surowo zabraniają pisania do "Znad Wili"! Przeprowadzają nawet pedantyczne śledztwo, kto jakich używa pseudonimów! Nawet im się nie dziwie - chcą też mieć dobre gazety. Osobiście mam zupełnie inne podejście do tego zagadnienia - druk w dwutygodniku uważam za pewnego rodzaju uznanie dziennikarskie, osiągnięcie przez piszącego pewnego poziomu profesjonalnego. Czy to źle, że ktoś w dodatku jest produktywny? Przed napisaniem tych słów spotkałem znajomego dziennikarza, który tak nie ma czasu, że niemal wcale nie pisze. Nigdzie. Akurat przed chwilą spacerował i uskarżał się właśnie na brak czasu.

Nie mogę nie napisać jeszcze o jednej sprawie. Przed 1 października wracałem z Polski przez przejście graniczne w

Łodziach. To, co się tam działo, można określić jednym słowem: *paranoja*. Czekanie na przekroczenie granicy przez dwie, trzy doby, lekceważący stosunek do podróżnych wszystkich służb ze wschodniej strony, rozpasanie spekulantów i obecność gangów żywo przypominały *dantejskie sceny*.

Mając pod dostatkiem czasu poczyniłem pewne własne badania. Wynika z nich, że z polską rejestracją był chyba każdy dziesiąty wóz, zaś najbardziej obciążone parły na Zachód samochody litewskie. Wracały również ciężkie jak czołgi. Pomijam inne spostrzeżenia: kto chociaż raz przekraczał granicę doskonale zna sytuację. Patrzący na to wszystko z uczuciem wstydu, poczuciem winy, że się podróżuje.

Z dziennikarskiej ciekawości pojechałem znowu niedawno na to przejście. Moje zaskoczenie przeszło wszelkie oczekiwania. Na odprawę czekały tylko dwa samochody! Wszystkie pozostałe brały kurs na Grodno. Zatrzymałem się przy pierwszym szlabanie, za którym leżały deski naszpikowane gwoździami, gdyby ktoś zdecydował nacisnąć na gaz i zwać na *tamtą stronę*. Przy posterunku działali ludzie z Departamentu Ochrony Kraju. Trzeba przyznać, że ich robota była niezwykle dokładna. Nie sposób jej było się przyglądać, gdy młodzi ludzie, pedantycznie i z zapalem wytrzęsali bieliznę i grzebali się w rzeczach osobistych. Miałem mieszane uczucia, kiedy kazali jednemu z turystów zwrócić do specjalnie uruchomionego punktu skupu butelkę napoju "Buratino", bo było o jedną za dużo... W punkcie znalazły się poszukiwane wyroby elektryczne, alkohol, zagraniczne papierosy. Obok nich leżały zabawki, których wartość jest w granicach paru rubli. No cóż, wygląda, że zawieźć dziecku nawet skromną zabawkę jest sprawą dziś karygodną...

Zapewne taką nadgorliwość jako spuścizna pozostała nam po czasach, kiedy

z jednej skrajności rzucaliśmy się w drugą. Z *tamtą strony* natomiast można przywieźć niewspółmiernie więcej rzeczy. Faktycznie żadnej kontroli. Zastanawiałem się, skąd ludzie mają wziąć pieniądze, żeby je kupić. Sprawa jest prosta - wiemy, ile kosztują u nas szare komórki - tyle co nic. To może być bodźcem dla ludzi zdolnych do wywożenia... swych myśli. Nie zajmuje to wcale bagażu, a na tym można zarobić i z powrotem zabrać dużo rzeczy materialnych. Nawet znaleźć do czego spakować - kupno samochodu z pracy, bez umiejętności czerpania pokątnych zysków jest dziś niemożliwością.

To dobrze, że *bronimy granic*. Tylko co będziemy robić, jeśli podobnie zaczną postępować Polacy, Rosjanie, Białorusini, Łotysze. Nie jest tajemnicą, ile rzeczy stamtąd napływa do nas. A przecież nie wszystko można załatwić za kilogram kielbasy lub sera holenderskiego. Gdzie indziej taniej kosztuje wiele rzeczy i można

je nabyć bez pośrednictwa *komersantów*, lub używając starej nazwy - spekulantów.

Zdaje sobie sprawę, że wydając takie sądy narażam się dla wielu osób - ważnych dygnitarzy i zwykłych *obrońców rynku*. Ja go też bronie, narzekam na brak wielu rzeczy i przeziębienia, których nabawiam się w kolejkach. Ale wciąż mi się wydaje, że *nie tędy* droga, żeby uzdrowić naszą gospodarkę. Nie jest to podstawowa przyczyna jej niewydolności. Nie bądźmy też tak naiwni, że jesteśmy *inni*, że nam można to, na co inni nie mogą pozwolić. Polszczyzna czy język rosyjski nie są tak dobre wśród naszych turystów, żeby przy zakupach za granicą republiki nie wyróżniać się od miejscowych nabywców. Zresztą jakie to ma znaczenie przy gospodarce wolnorynkowej, do której również zmierzamy. Po drodze jeszcze na pewno będzie niejeden *falstart*.

Tomasz Bończa

